



JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

SZ A Ł Ł O W I E N I A M O T Y L I

LUPA POD LUPĄ

Dlaczego ci, którzy teraz rzucają w Krystiana Lupa kamieniem, jeszcze do niedawna stali za nim murem.

Rannego lwa to i mała kopnie”. To stare chińskie przysłowie przypomniało mi się ostatnio podczas lektury artykułów będących dość zmasowanym atakiem na Krystiana Lupa. Po śmierci Kantora, Grotowskiego, Swinarskiego, Axera, Wajdy czy Jarockiego wśród twórców polskiego teatru liczących się na międzynarodowych scenach został właściwie tylko on, no i Warlikowski.

Świadczą o tym nagrody, zaproszenia jego spektakli na najważniejsze teatralne festiwale. Rozsiana po całym świecie grupa „Lupatyków”, zahipnotyzowanych jego spektaklami, nadała mu wręcz wymiar boski. To mogło, oczywiście, wytworzyć w artyście pewne poczucie bezkarności. Krystian Lupa od dawna przyzwyczał nas do przeciągania prób, przesuwania dat premiery przedstawienia. Właściwie pokazał, że oficjalna premiera to jedynie publiczny pokaz czegoś, co podlegać będzie jeszcze licznym zmianom, przeróbkom, dopracowaniu. Od lat było wiadomo, że praca z tym reżyserem to krew, pot i łzy, ale – jak twierdzono – wszystko wynagradza potem efekt końcowy, nagrody, wojaże.

Każdy, kto zna historię teatru, pamięta, że z jakiegoś powodu wielkiego Jerzego Jarockiego nazywano „torturmistrzem” (to prawie jak dziś „przemocowcem”), a słowa wypowiedane w czasie prób przez co najmniej

dwóch reżyserów o imieniu Kazimierz nie nadają się do zacytowania. A przypomnijmy spektakle Tadeusza Kantora. Tam gęsta atmosfera panowała nie tylko w czasie prób, ale też bezpośrednio przed pokazem. Pamiętam, jak w klubie studenckim Stodoła, gdzie zwykle pokazy się odbywały, za zaciągniętą kurtyną trwała, słyszana doskonale przez widzów, „mocno ożywiona dyskusja”, w której twórca Cricot 2 nie szczędził słów krytyki organizatorowi występu, szantażował, że ma chore serce i może to być ostatni spektakl z jego udziałem. Emocje sięgały zenitu, a półtorej godziny później podczas ukłonów obaj panowie uściskali sobie ręce. I przed każdym następnym występem sytuacja się powtarzała w najdrobniejszych szczegółach.

Nie dyskutuję z tym, czy to dobre metody pracy i czy najważniejszy jest efekt końcowy, a nie sposoby, jakimi się go osiąga. Dziwi mnie tylko pewna hipokryzja części środowiska. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ci, którzy teraz rzucają w Krystiana Lupa kamieniem, jeszcze do niedawna stali za nim murem i kamieniem celowali raczej w stronę Joanny Szczepkowskiej, która publicznie podzieliła się wątpliwościami co do metody takiej pracy, mówiąc o braku sensu przeciągających się prób, a czasem wręcz o ich jałowości. Zarzucała artyście, że przesuwając datę premiery, nie liczy się z wcześniejszymi zobowiązaniami artystów wobec innych reżyserów teatralnych czy filmowych. Wtedy zamiast zainteresować się tematem, próbowano zrobić z Joanny Szczepkowskiej Joannę Szaloną.

Przyjęto niepodważalną zasadę, że sztuka wymaga poświęceń, a każdy występujący u artysty miary Lupy powinien być dumny, jeśli przyjdzie mu złożyć z siebie ofiarę na tejże sztuki ołtarzu.

Sytuacja diametralnie się zmieniła, kiedy niedawno światowa prasa poinformowała o przerwaniu przygotowań do premiery „Les Emigrants” w teatrze w Genewie. Mimo że sztuka mogła się okazać kolejnym wielkim sukcesem Lupy i już została zaproszona na festiwal w Awinionie, postanowiono podziękować reżyserowi, bo podczas prób wdał się on w konflikt z obsługą techniczną teatru, nie przestrzegał godzin pracy, zbyt długo myślał nad rozwiązaniem kilku scen, nakrzyczał na tłumaczkę, gdy utrudzona przekładaniem jego słowotoku poprosiła o przerwę. A przecież wszystko powinno przebiegać jak w szwajcarskim zegarku. Wszak to teatr w Genewie.

Czy dojdzie do premiery? Tego nie wiadomo. W reakcji na tamto wydarzenie „GW” przeprowadziła wiernopoddańczy wywiad z Krystianem Lupa, wyglądający raczej jak monolog, w którym reżyser przeprosza za zaistniałą sytuację. Część środowiska złapała wiatr w żagle, przekonując, że „Wymazywanie” i „Wycinka” Krystiana Lupy to nie tylko tytuły jego głośnych spektakli, ale też czynności, które przeciw niemu warto by rozpocząć. I mamy oto sytuację, gdy wieloletni miłośnicy parówek przestali nagle delektować się ich smakiem i skupili wyłącznie na procesie ich tworzenia.